

071584

Cena numeru 25 gr.

Nr. 1

Wilno, 29 stycznia 1937 r.

Rok XX.

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego Nr. 21 m. 6.

Czynne od g. 12—2 prócz świąt.

138052

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 50 zł.
 $\frac{1}{2}$ „ — 25 „
 $\frac{1}{4}$ „ — 13 „
 $\frac{1}{8}$ „ — 7 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Do Czytelników.

Rok prawie cały „Przegląd Wileński” się nie ukazywał.

Ostatni numer wyszedł w roku ubiegłym z datą 14 marca. Ciężka choroba moja, według opinii lekarzy, nie dawała nadziei wyzdrowienia i wznowienia przezemnie wydawnictwa. Wbrew jednak przewidywaniom lekarskim ocalałem i obecnie przystępuję do pracy, chociaż nie czuję się jeszcze na siłach, by wydawnictwo utrzymać na należyтым poziomie i zadowolić czytelników w zupełności. Zgóry więc przepaszam za wszystkie ujemne strony i możliwą nieregularność w ukazywaniu się pisma, mam nadzieję jednak, że z biegiem czasu powrót mój do zdrowia nastąpi całkowicie i wówczas postaram się powetować początkowe braki. Wszystkim czytelnikom, którzy opłacili prenumeratę za dłuższy przeciąg czasu, niż $2\frac{1}{2}$ miesiące wychodzenia pisma w ubiegłym roku, będziemy wysyłać „Przegląd Wileński” bezpłatnie tak długo, jak tego będzie wymagała należność.

Ostatni numer z zeszłego roku (Nr. 5) nie został dostarczony wszystkim prenumeratorom, gdyż uległ konfiskacie za trzy artykuły p. t. „Nierówne warunki” M. Nowińskiego, „Równość przed prawem” B. Szyszkowskiego, oraz „Dziesięciolecie litewskiego T-wa Św. Kazimierza” Rintasa. Numer został skonfiskowany, gdy odwieziono mię nieprzytomnego do szpitala, a że stan mego zdrowia przykuł mię do łóżka na szereg miesięcy, rozprawa w sądzie odbyła się dopiero w grudniu. Obronę wnosił mecenas Szyszkowski i sąd uniewinnił mię całkowicie. Gdyby więc który z czytelników chciał zapoznać się z numerem piątym „Przeglądu Wileńskiego”, proszę o powiadomienie administracji, a numer niedostarczony swego czasu zostanie niezwłocznie wysłany.

Zgóry muszę uprzedzić czytelników, że zawar-

tość pierwszych numerów będzie pozostawiała wiele do życzenia. W czasie mojej choroby zaszło tyle zmian na szerokim świecie i na naszym partykularzu, że nie ze wszystkich ewenementów zdaję sobie sprawę dokładnie. Wiele kwestyj pierwszorzędno znaczenia zmuszony jestem pominąć milczeniem. W niektórych dziedzinach zaszły zmiany głębokie a niezbyt łatwe do zrozumienia. Z biegiem czasu postaram się je zrozumieć i odpowiednio oświetlić. Na razie często nie zdaję sobie sprawy, gdzie się kończą moje chorobliwe majaczenia, a zaczyna ponura rzeczywistość.

Ludwik Abramowicz.

Zamknięcie przez władze administracyjne szeregu stowarzyszeń litewskich i białoruskich, zawieszenie paru pism, wśród których w pierwszym rzędzie należy wymienić tygodnik p. t. „Białoruskaja Krynica”, liczne rewizje dokonane wśród miejscowych wybitnych działaczy narodowości litewskiej i białoruskiej, aresztowanie — wprawdzie na krótko — czołowego przedstawiciela społeczeństwa litewskiego — wszystko to daje dużo do myślenia. Rzecz dziwne, że wileńska prasa polska nie poświęca tym sprawom dostatecznej uwagi. Ostatecznie są to wypadki ważniejsze, niż działalność Z.Z.Z. na terenie Lidy, lub też wybryki przesiąkniętej płytkim nacjonalizmem młodzieży akademickiej w Wilnie.

Z historii walki o język wykładania historii i geografii w gimnazjach mniejszościowych.

Ostatnie miesiące przeszły pod znakiem utyskiwań prasy polskiej na temat ucisku mniejszości polskiej w Litwie Niepodległej. A jednocześnie w Polsce zaznaczyć się dało masowe likwidowanie litewskich organizacji i instytucji kulturalno-oświatowych, posiadające charakter retorsyjny. W ten sposób w wyniku nieuormowanych stosunków między Polską a Litwą, po obu stronach granicy polsko-litewskiej, cierpi ludność polska w Litwie i litewska w Polsce w równej niemal mierze.

138052



Do szeregu podawanych przez polską prasę i polskie radio faktów, mających świadczyć o antypolskiej polityce wewnętrznej rządu litewskiego, przybyło niedawno zarządzenie szkolnych władz w Litwie, wymagające, by w prywatnych polskich szkołach średnich nauka historii i geografii powszechnej odbywała się w języku litewskim. Wywołało to po stronie polskiej formalną burzę.

Nie od rzeczy będzie jednak zaznaczyć, iż pierwszeństwo w przeprowadzeniu tego rodzaju wymagania od szkolnictwa mniejszościowego należy nie do Litwy, lecz—do Polski. Sprawa ta ma swoją historję, którą w związku z zarządzeniem litewskim warto przypomnieć.

Jak wiadomo, tak zwana „Ustawa językowa” z dn. 31.VII 1924 r., opracowana przez p.p. Thugutta i Grabowskiego, normując sprawę języka wykładowego w prywatnych mniejszościowych szkołach średnich, w art. 7 żądała, by nauka *polskiej literatury, historii i geografii* odbywała się w języku *polskim*. Z ogólnego stanowiska, zajętego w tej sprawie przez ustawodawców, oraz z kontekstu innych artykułów, jasnym było, iż przymiotnik „polskiej” w odnośnym ustępie art. 7 dotyczył *trzech* kolejno wymienionych przedmiotów: literatury, historii i geografii, a więc chodziło o wykładanie po polsku literatury *polskiej*, historii *polskiej* i geografii *polskiej*. Tak też rozumiały art. 7 Ustawy władze szkolne w ciągu roku szkolnego 1924/25. Lecz przed rozpoczęciem następnego roku szkolnego oficjalna interpretacja tego artykułu została zmieniona—w tym sensie, iż przymiotnik „polska” odniesiono *tylko do literatury*, historia zaś i geografia miały oznaczać historję i geografję *powszechną*.

Na zasadzie takiej interpretacji w dn. 22 lipca 1925 r. Kuratorjum Wil. Okr. Szkolnego rozesłało do dyrekcji prywatnych szkół średnich białoruskich, litewskich i żydowskich pismo, w którym powiadało, iż „zgodnie z wyjaśnieniem Ministerstwa W.R. i O.P. z dn. 23 kwietnia r. b. L. 4022/D. 25. Szkoły z niepolskim językiem nauczania winne są—w myśl art. 7 Ustawy z dn. 31.VII 1924, zawierającej niektóre postanowienia o organizacji szkolnictwa (Dz. U. R. P. Nr. 79 z r. 1924 poz. 766) — *prowadzić nauczanie historii i geografii powszechnej w języku polskim*”. Zarządzenie to wywołało wzburzenie w społeczeństwach „mniejszościowych”. W Wilnie natychmiast zebrała się konferencja przedstawicieli organizacji kulturalno-oświatowych białoruskich, litewskich i ży-

dowskich, na której uchwalono nie podporządkować się niesłusznym i niezgodnym formalnie z powołaną ustawą wymaganiom władz szkolnych. Jednocześnie wystosowano memoriał do ministerstwa z protestem przeciwko temu zarządzeniu, złożono skargę do Najw. Trybunału Administr. i wysłano delegację do ministra W. R. i O. P. Sprawą zajęli się posłowie białoruscy i żydowscy w Sejmie. Do akcji trzech narodowości przyłączyli się Ukraińcy i Niemcy, którym władze szkolne postawiły żądania identyczne. Zaczęły się odbywać zebrania protestacyjne rodziców uczącej się młodzieży. Posypały się interpelacje posłów mniejszościowych w Sejmie.

Warto przypomnieć motywy natury narodowo-kulturalnej i pedagogicznej, wysunięte w memoriale do ministra W. R. i O. P., wysłanym przez wileńskie organizacje białoruskie, litewskie i żydowskie w dn. 15.IX 1925 r. Czytamy tam co następuje:

„Rozporządzenie Pana Ministra wywarło wrazenie przynębiające nie tylko na bezpośrednio zainteresowane sfery nauczycielskie oraz na rodziców, lecz również na najszersze koła całej niepolskiej ludności Wileńszczyzny. Nakaz nauczania wymienionych przedmiotów w języku polskim został zrozumiany przez szerokie koła białoruskie, litewskie i żydowskie, jako cios wymierzony w najważniejszą podstawę naszego szkolnictwa, jako akcja zapowiadająca zniweczenie samej zasady nauczania w języku ojczystym, zagwarantowanej w Konstytucji Rzeczypospolitej. Ogół niepolskiej ludności Wileńszczyzny widzi w wyjaśnieniu Pana Ministra wielkie niebezpieczeństwo dla całego ustroju jej szkolnictwa, wzniesionego z tak wielkim trudem w ciągu lat.

„Co się tyczy względów pedagogicznych, wspomniane wyjaśnienie Pana Ministra pozbawia nauczycielstwo najważniejszego — poza nauką języka ojczystego — środka kształcenia umysłu i duszy dziecka, w sposób decydujący osłabia całą wartość czynnika humanistycznego w naszych programach. Nauczanie historii powszechnej i geografii w języku polskim, który dla naszych dzieci nie jest językiem ojczystym, niezmiernie utrudni postępy dzieci, fatalnie się odbije na poziomie tych przedmiotów, sprowadzi te tak żywe i ciekawe dziedziny wiedzy do martwego werbalizmu i zachwieje energję naszej młodzieży oraz zamiłowanie jej do nauki”.

Petenci oświadczali w dalszym ciągu, iż złożyli formalną skargę w tej sprawie do Najwyższego Try-

W odpowiedzi p. Zygmunta Nagrodzkiemu.

W sierpniu r. bież. Zygmunt Nagrodzki ogłosił w Wilnie (z datą 1935) broszurę p.t. *Rola duchowieństwa katolickiego w godzinie prób i cierpień na terenie Litwy i Białejrusi (1863—1883)*, która oprócz uzupełnionego przedruku zamieszczanych przezeń w „Kurjerze Wileńskim” w r. 1934 artykułów, zawiera jeszcze kurtuazyjną w formie, lecz wcale nie wolną od błędów i nieporozumień odpowiedź, jaką autor, czyniąc aluzję do naszego artykułu w „Przeźglądzie Wileńskim”, zatytułował: *Nie dynaści, nie pompadury, lecz nikczemnicy* (str. str. 122—145), i dopiski polemizujące z W. Charkiewiczem, bpem P. Kubickim i Katolicką Agencją Prasową, czyli Kapem.

Jeśli chodzi o całość tego zagadnienia, które

równie żywo obchodzi tak autora, jak nas, to wobec zupełnego braku monograficznych opracowań tego czasokresu w życiu Kościoła i kraju, przedwczesne jest ferować jakiś wyrok ostateczny co do liczby księży trebnikowiczów. Winniśmy dlatego zadowolić się narazie próbą możliwie bezstronnego oświetlenia czasów, wypadków i osób.

Głównem, jeśli nie jedynem źródłem drukowanym, na jakim się oparł Z. Nagrodzki, jest dziełko zagadkowego pseudonimu ks. Jana Przybyszewskiego (któregośmy błędnie wzięli za poznaniaka): *Język Rosyjski w katolickim rytuale i w nabożeństwie dodatkowem*. Zapewne podbija nas ks. Przybyszewski w swej broszurze szczerem a gorącym oburzeniem na wszystkie nikczemności, jakie oglądał na własne oczy lub słyszał z opowiadań, jednak, to co napisał wygląda na opowiadanie, jeśli już nie patryjotyczne gawędy, o czasach Żylińskiego w Wilnie. Odczuwa się bowiem u niego wyraźnie brak podejścia histo-

bunału Administracyjnego, i prosili o wstrzymanie wykonania zarządzenia ministerstwa do wydania ostatecznego orzeczenia przez Trybunał. W skardze zaś do N.T.A. wysłanej dn. 22.VIII 1925 przez Centralną Radę Szkolną T.B.Sz. powołują się skarżący na nieprawidłowość interpretowania przez władze szkolne art. 7 Ustawy z dn. 31.VII 1924. Twierdzą oni mianowicie, że „interpretacja władz szkolnych bierze artykuł 7 w oderwaniu od ducha całej ustawy, a w szczególności—od artykułu 4-tego tejże Ustawy, który to artykuł wyraźnie opiewa, że w 4, 5, 6 i 7 klasach szkoły powszechnej w polskim języku obowiązkowo prowadzona jest nauka tylko języka państwowego, historii *polskiej* i nauki o Polsce współczesnej. Wobec zaś tego, że pomienione wyższe klasy szkoły powszechnej stanowią pod względem prawnym i organizacyjnym niższe klasy szkoły średniej — tak zwane gimnazjum niższe, przeto wspomniane rozporządzenie Ministra W.R. i O.P. stoi w jawnej sprzeczności z art. 4 przytoczonej ustawy, w której artykuł 7, aczkolwiek niewyraźny w swoim brzmieniu dosłownem, musi być dostosowany do art. 4 i ducha całej ustawy, mającej na celu nie pomniejszenia, lecz pewne rozszerzenie praw języka białoruskiego w szkole”. W konkluzji proszą skarżący o uchylenie rozporządzenia ministerjalnego.

W parę miesięcy później, mianowicie w dn. 14.X 1925, Kuratorjum W.O.S. rozesało do dyrekcji szkół średnich niepolskich nowe pismo, potwierdzające zmienność decyzji Ministerstwa i wprowadzające, widocznie w charakterze kompensaty za uczynioną szkolnictwu mniejszościowemu krzywdę, następującą innowację, „Szkoły średnie prywatne z białoruskim, litewskim i żydowskim językiem nauczania mogą na nauczanie języka białoruskiego, litewskiego, względnie żydowskiego (hebrajskiego) przeznaczyć w trzech najwyższych klasach o jedną godzinę tygodniowo więcej celem objęcia nauczaniem — obok literatury — także *historji kultury* danego narodu (nie *historji politycznej*, która winna być nauczana z *historją* powszechną wogóle i—w myśl przytoczonej ustawy—po polsku). Program tej *historji kultury* musi być — jak wogóle cały program szkoły—zatwierdzony przez Kuratorjum. W roku szkolnym 1925/26 nauczanie *historji* może zacząć się — jak dotychczas — nie od I, lecz od II klasy”.

Oczywiście, drobne te ustępstwo nie zadowoliło nikogo. W dalszym ciągu trwał powszechny opór,

w dalszym ciągu wykład *historji* i *geografji* powszechnej w gimnazjach mniejszościowych odbywał się w języku wykładowym tych gimnazjów. Wreszcie, wobec nieprzejednanego i jednolitego stanowiska wszystkich mniejszości, objętych rozporządzeniem ministra W.R. i O.P., władze szkolne po roku walki poszły na ustępstwo. Pismem z dn. 3.VI 1936 ministerstwo W.R. i O.P. zawiadomiło o tem kuratorów okręgów szkolnych Lwowskiego, Wołyńskiego, Poleskiego, Wileńskiego i Białostockiego, oświadczając co następuje:

„Ministerstwo poleca Panom Kuratorom wymagać we wszystkich szkołach średnich ogólnokształcących z językiem nauczania niepolskim, w których program tak jest ukształtowany, iż *historja* Polski jest oddzielona jako osobny przedmiot od *historji* powszechnej, prowadzenia w języku polskim nauki języka i literatury polskiej, *historji* Polski i nauki o Polsce współczesnej.

„W języku polskim prowadzi się również naukę *geografji* Polski w gimnazjum wyższem.

„Nauka innych działów *historji* i *geografji* może odbywać się w języku nauczania szkoły”.

Tak więc niesłuszne i krzywdzące mniejszości narodowe zarządzenie polskich władz szkolnych zostało cofnięte.

Jak jest obecnie?

Zdaje się, że ministerstwo wróciło do dawnego stanowiska.

H. B.

Pod rozważę nauczycielstwa i kleru.

W dziejach rozwoju społeczeństw nowoczesnych odegrało wszędzie wielką rolę nauczycielstwo. Wpływ nauczycielstwa zaważył dużo we Francji, Niemczech, w Rosji... Jakże więc się nie liczyć z siłą, jaką przedstawiają nauczyciele, zrzeszeni w organizacje zawodowe! Dobrze jest mieć za sobą sympatje tej wpływowej grupy ludzi, brak zaś ich dotkliwie a rychło uczuje każdy, kto czynnik ten zlekceważy.

Kraj nasz został dziś zalany całą masą nauczycielstwa polskiego. Lata najbliższe pomnożą jego kadry. Pilnie więc przyglądamy się jego obliczu. Radykalizm społeczny nauczyciela ludowego zbyt się rzuca w oczy, by można było temu zaprzeczyć. Świe-

rycznego, krytycyzmu, spokoju i in. przymiotów, jakie winny cechować każdego historyka. Dalecy jednak jesteśmy, by magistrowi św. teologii ks. Przybyszewskiemu odmawiać wszelkiej kompetencji, a jego książeczce wszelkiej wartości. Tem bardziej, że jak powiada, opierał się o akta. Zagadnienie atoli jest o wiele głębsze i nierównie bardziej skomplikowane, niż pseudonimowy autor sobie wyobrażał, gdy usiłował przeciąć je od ramienia szablą powstańczą, zamiast próbować dokonania na niem sekcji precyzyjnej.

Nie jest jeszcze wyświetlona całkowicie postać trochę już legendarna dziekana wileńskiego, a proboszcza parafji św. Rafała, ks. Stanisława Piotrowicza, którą Nagrodzki, wślad za Przybyszewskim, apoteozuje i przecenia. Wystąpienie ich bohatera było niewątpliwie ważne a efektowne, lecz czyż może się równać z zasługami w sprawie stworzenia ideologii antitrebnikowej wśród kleru naszego, jakie położył niedoceniony dotychczas i czekający na swe-

go biografą ś. p. kanonik Konstanty Majewski?! Jego raporty do ówczesnych władz duchownych i świeckich są wzorami niemal klasycznymi tego, jak nie wpadając w histerję i nie hołdując ideałom wszechpolskim, umiał kapłan katolicki u nas walczyć z zakusami o wprowadzenie trebnika rosyjskiego.

Pseudonim Przybyszewski nazywa niechęć ludu naszego do mowy rosyjskiej w kościele katolickim, ściślej łacińskim, *tylko głosem obrażonej natury* a Nagrodzki bez zastrzeżeń to przyznaje. Otóż myli się tu nasz sz. oponent! Nie był to głos obrażonej natury, ale wręcz pospolity przejaw t. zw. polskiej wiary. Nigdy bowiem katolicyzm na Litwie i Białorusi nie grzeszył zbytkiem zmysłu powszechności, jak dziś mówią, uniwersalizmu. Rolnikowi białoruskiemu, bo to on, a nie kto inny, był główną *persona dramatis* w walce z trebnikami po kościołach wiejskich, wbijano do głowy od wieków, że na Litwie i Białorusi tylko po polsku można, wolno, należy i trzeba

zo o tendencjach radykalizmu nauczycielstwa nasze go wydał niepodważane a kompetentne świadectwo dr. St. Świaniewicz w „Pax'ie”. Nie określamy barwy tego radykalizmu, stwierdzamy tylko jego skłaniający się do najśmielszych eksperymentów kierunek. Kto jest prawdziwym radykałem, niech się nie obraża, gdy go nazwie się tem mianem, niech się nie gniewa na taką kwalifikację i nie wymyśla za to odrazu na faszystów i czarną reakcję.

Jednak samym radykalizmem szczęścia ludzkości się nie osiągnie, a świata z gruntu się nie przebuduje. Zresztą radykalizm jest więcej kwestią metody niż treści. Czytając dziś w Wilnie organ Z. N. P., coraz poczytniejszy „Kurjer Powszechny”, stwierdza się z punktu, że ideologii dobrze przemyślanej to potężne zrzeszenie jeszcze nie posiada, a siła jego wystąpienia wiecowych i prasowych leży tylko w ostrej krytyce, a więc jest tymczasem natury negatywnej, nie pozytywno-konstruktywnej.

Tyle o nauczycielstwie.

A jak wygląda dziś nasze duchowieństwo, które daje się wciągać niepokojąco coraz dalej do walki z nauczycielstwem polskim? Czy nie czas mu zatrąbić już do odwrotu? Czy wskazana dla niego jest ta rozgrywka? Czy nie muszą odczuwać księża, że są daleko pilniejsze dla nich zadania w skłóconym świecie dzisiejszym? Czyż nauczyciel nie powinien być przyrodzonym niejako sprzymierzeńcem i współnikiem księdza w jego walce z ciemnotą ludu, zabobonością, dzikością?!... Czy nie jest nauczyciel naturalnym towarzyszem broni kapłana, zwłaszcza na wsi? Bo wszak nie w gronie oficerów KOPu, nie wśród urzędniczyn komunalnych, nie pośród zdeklasowanego ziemiaństwa i inteligencji małomiasteczkowej, ma ksiądz w mieście i na wsi szukać ludzi, z którymi mu było najbardziej po drodze! Tych ludzi ksiądz winien i musi znaleźć właśnie a jedynie wśród nauczycielstwa. Dlatego tak beznadziejnie smutna a przykra ta walka obecna nauczycielstwa z klerem, a kleru z nauczycielstwem. Zaś potworność w tem, że stronami walczącymi są ci, co właściwie być winni zawsze sprzymierzeńcami. Większość księży rekrutuje się akurat ze sfer, z których wyłania się również większość rzeszy nauczycielskiej. Dlatego czas wielki, by ksiądz zrozumiał, że nie opłaca się dziś wszczynać walki o wcielenie u nas teokracji lub rządów kleru katolickiego w państwie, już dlatego że

chwalić Boga, czyli że wszelka inna mowa jest prawie pogańska i tylko znieważa Boga. Więc polska wiara, to żaden złośliwy wymysł naszych litwomianów i chłopomanów, lecz rzecz najrealniejsza w świecie, mająca swój namacalny (a dotykalny) odpowiednik w życiu naszego kraju. To nie polski oręż i nie polska kultura zdobyły tak daleko sięgające w głąb Litwy i Białorusi wpływy i, co za tem idzie, połączenie ziem, lecz właśnie polski ksiądz, pacierz, polska pieśń kościelna... Dlatego nie zdziwiłbym się ani trochę, jeśli by endecja wpadła kiedy na słuszną z jej punktu widzenia myśl wzniesienia w Wilnie pomnika polskiemu księdzu jako temu, który dobrze się zasłużył polskiej racji stanu na ziemiach Litwy i Białorusi. Czy również dobrze zasłużył się Kościołowi, to już inna sprawa.

Trudno też zgodzić się z Nagrodzkim, że ks. F. Sęczykowskiemu nie wyznaczył w swej broszurze miejsca osobnego, a podobiznę jego dał w niej zaraz

obydwa są nie do utrzymania, jako skazane dziś na przekreślenie przez życie.

Już dla odprężenia sytuacji wytworzonej przydałoby się bardzo obustronne rzucenie hasła: *nie generalizować* wad swego przeciwnika ideologicznego. Więc ani wybryków jurnego radykalizmu wśród nauczycielstwa, ani niewczesnych ciągów wśród kleru do tego, by rządzić z zakrytą całąm światem.

Były nauczyciel.

FELJETON

Wyspa skazańców.

Mignęła mi kiedyś dawno już w prasie wiadomość, że p. prokurator Władysław Sieroszewski, syn prezesa P.A.L.-u Wacława Sieroszewskiego, rzucił podobno projekt, aby Polska nabyła wyspę w celu osadzania tam skazańców. Nie będzie mi miał za złe p. Sieroszewski, że projektowi temu nie tylko przyklasnę, lecz że go w miarę sił i umiejętności rozwinę.

Zgóry zaznaczam, że nie czytałem artykułu p. S., a tylko krótką wzmiankę o nim w którymś z pism codziennych. Dlatego też moje podejście do przedmiotu będzie całkowicie wolne od sugestji autora projektu.

Przypuśćmy więc, że Polska ma już wyspę na jednym z oceanów, wyspę odpowiednio rozległą, aby pomieścić na niej wszystkie „ekskrementa społeczne”, jak się kiedyś obrazowo, ale niezbyt wonnie, wyraził o przestępcach Włodzimierz Spasowicz.

Wyspa powinna leżeć gdzieś na odludziu, żeby z niej nie można było zwiać, powinna być urodzajna, a przynajmniej zdatną do kultury gospodarczej, aby skazańcy mogli sami się wyżywić i odciążyć skarb państwa z wydatków na utrzymanie więźniów, wreszcie winna mieć łagodny klimat, a nie à la Wyspy Sołowieckie, bo tak każe zachodni humanitaryzm.

Ależ kogóż tam będzie Polska wysyłała?... Domyślam się, że p. S. miał na widoku tylko przestępców karnych i politycznych. Byłaby to jednak idea pojęta zbyt wąsko. Na taką wyspę należałoby wysyłać wogóle wszystkich „uciążliwych obywateli”...

Mała dywersja. Musimy tę wyspę odpowiednio nazwać. Możeby tak: „Wyspa Sieroszewskiego”... Na cześć projektodawcy. Ale wówczas mógłby powstać

na wstępie. Czyż lektura dwutomowej książki Żyrkiewicza o Sęczykowskim nie przekonała go, że ma w niej do czynienia z typowym psychopatą i manjakiem, jednostką wyraźnie anormalną?! Żyliński dopiero u schyłku życia miał umysł chorobliwie zamroczony, gdy tamten zawsze. Zresztą jest hierarchja i w nikczemności.

Przechodzimy do poczynionych nam przez Z. Nagrodzkiego, uwag i zarzutów przyczem odpowiemy tylko na ważniejsze.

Nasamprzód chętnie notujemy cenne tymczasem stwierdzenie przez krytyka, że *żadnej organizacji szpiegowskiej, złożonej z księży, specjalnie do tropienia tajnego szkolnictwa polskiego,...* nie było. Mała jednak stąd pociecha, skoro księża ówczesni, według aktu oskarżenia tropili za to *kółka uczniowskie, mające na celu samokształcenie w przedmiotach niewykładanych w szkołach rosyjskich*. Cytując na dowód prawdy odnośny ustęp ze sprawozdania

zamęt w głowach mało uświadomionych Polaków, o którego z Sieroszewskich tutaj chodzi: o dostojnego *senjora*, czy o niepozbanionego inwencji *junjora*... Możeby więc nazwać tę wyspę „Zaciszem” albo „Ustroniem” lub też zgoła „Bukietem”... Skazańcy mieliby przynajmniej fonetyczną iluzję, że siedzą w Zaciszu czy też pod Bukietem, bo „na ustroniu” będą siedzieli napewno.

Czas zerwać z przestarzałym: „Neminem captivabimus nisi jure victum”. To było dobre za czasów pięknoduchów politycznych, którzy korzyli się przed majestatem prawa. Dziś powiały inne wiatry. Przedewszystkiem—celowość. Trzeba usuwać ze społeczeństwa wszelki element niepożądany. A kto jest niepożądany, o tem najlepiej już wiedzą władze administracyjne.

Oprócz wszelkiego rodzaju zbirów, zamachowców, rzezimieszków, alfonsów, gwałcicieli, bluźnierców, szpiegów, łapowników, lichwiarzy i innych wydziałów społecznych, należy zwrócić uwagę na osobników, nie objętych kodeksem karnym, lecz niemniej przeto szkodliwych lub bezużytecznych.

Będziemy więc wysyłać na wyspę:

Wszystkich „niepowodzeńców” życiowych—w rodzaju adwokatów, którzy przegrywają sprawy swych klientów, lekarzy, którym pacjenci umierają, kupców, którzy plajtują, dygnitarzy państwowych, którzy popadną w stan niełaski, inwalidów, emerytów i t. d., bo co z takich ludzi za korzyść dla społeczeństwa i dla państwa?...

Ponadto redaktorów pism, które zostały choć raz skonfiskowane przez pana Starostę, gdyby nawet Sąd później uchylił konfiskatę. Również wszystkich tych, co brali jakikolwiek udział w wydaniu takiego pisma, a więc autora, wydawcę, zecerów, korektora, metrapaży, maszynistów, — z wyjątkiem jedynie „redaktora odpowiedzialnego”, bo ten, zaiste, znajduje się poza wszelką winą.

Malkontentów, którzy gdziekolwiek wyrażą się lub rzucą aluzję, że w Polsce nie wszystko dzieje się najlepiej, bo tacy ludzie z reguły „rozpowszechniają fałszywe wiadomości, mogące wywołać niepokój publiczny”.

Wszystkich wierszokletów, rymotwórców i assansoczyńców, którzy każą nam w dzisiejszych czasach zapominać, że przecie kiedyś istniała poezja. Tutaj zrobimy wyjątek jedynie dla tych „poetów”, którzy rymami lub prozą poetycką sławią i wielbią

przedsiębiorstwa państwowo-dochodowe, jako to Państwową Loterję Klasyczną, lub P.K.O., albo Monopol Tytuniowy, Wódczany i t. d. Bardzo źle, że społeczeństwo nie wyróżniło, a P.A.L. nie nagrodił wawrzynem poetę, który stworzył niezapomniany wiersz, zaczynający się od słów:

Cukier krzepi,
Wódka — lepiej,
Wódka grzeje,
Wódka chłodzi,
Wódzia nigdy
Nie zaszkodzi.

Wysłanie na wyspę nie powinno ominąć również obywateli, którzy odznaczają się właściwościami, wyróżniającymi ich z ogółu: czy to geniuszem, czy wielką ambicją, czy wpływem na masy. Coś w rodzaju ostracyzmu z czasów Sokratesa. Tacy mogą mieć stojącą wodę życia państwowego i lepiej się ich wyzbyć.

Wreszcie niedość deportować ludzi, którzy zamaniestrowali swoje nastroje czynami. Trzeba sięgnąć do źródła czynu, t. j. do myśli ludzkiej. Należy ująć kwestję w sposób prewencyjny. Podobno został wynaleziony czy też jest w opracowaniu aparat, zapomocą którego uwidaczniają się myśli ludzkie. Przytawi się taki aparacik do głowy badanego i już wiadomo, co on myśli. Może on wierzy w nieomylność władz we wszystkich kwestjach społecznych, politycznych i gospodarczych, w takim razie należy go pozostawić w spokoju. A nuż w mózgu jego kluje się jakieś niezadowolone z istniejących porządków lub rozporządzeń... Takiego—precz na wyspę! Niech nie zanieczyszcza atmosfery lojalności, niech nie wychodzi poza strychulec szeregowców tego czy innego regimentu!...

No, dobrze. Wyspa już jest, zaludnienie jej również jest. Jakież ustrój ma tam zapanować?.. Stworzyć dla wyspy ustawodawstwo ustrojowe, to dla nas bagatelka. Każdy referent ministerski jest u nas urodzonym ustawodawcą. Posypią się z bajeczną obfitością najniezrozumialsze ustawy z niezliczonymi artykułami, paragrafami, odnośnikami, uwagami do tych odnośników, przepisami przechodniemi i instrukcjami wykonawczemi. Zecerom ręce pomdleją od składania czcionek, maszyny drukarskie zaturkoczą—i wnet największy statek wielotonnowy zawiezie na wyspę całą polską ekspansję ustawodawczą, która będzie niechybnie dobrodziejstwem dla wyspiarzy. Tout sera comme chez nous...

gen. gub. Albedińskiego cesarzowi, autor broszury kładzie akcent logiczny na udzielone rządowi informacje przez niektórych księży o tych polskich kółkach, zaznaczając to tłustym drukiem, gdy mybyśmy takim drukiem podkreślili właśnie zamieszczoną o „dwa wiersze niżej przyczynę sprawczą tego oskarżenia: *słuchi o wolnodumstwie polskiej młodzieży*. Oczywiście, nie byli w porządku księży śpieszący do wrogięgo rządu z takimi informacjami o swych młodocianych rodakach i wybielać ich wcale nie zamierzamy. Z drugiej jednak strony dobrze widać, że tym gorliwcom chodziło tu wyraźnie nie o co innego, jak o poskromienie *brachio saeculari* rewolucyjnego w ówczesnym sensie stanowiska młodzieży względem wszelkiej władzy tak duchownej jak świeckiej, tak rodzicielskiej, jak szkolnej... Więc nie w tajne studjum literatury polskiej, historii polskiej i innych przedmiotów polonistycznych było wymierzone ostrze wystąpienia niefortunnych legitymistów z pod znaku

Żylińskiego i S-ki. Skargi te z ust ks. ks. katechetów *mutatis mutandis* powtarzają się po dziś dzień, tylko pod innym już adresem i są one częścią odwiecznej walki pokolenia odchodzącego z nadchodzącem.

Mieliśmy dalej popełnić błąd, nazywając usunięcie bpa Krasieńskiego z Wilna wywiezieniem, bo według Nagrodzkiego *dobrowolnie je opuścił*, a tylko w *Dyneburgu został zaproszony do Petersburga*, tymczasem sam nasz oponent wyraża się gdzieindziej w taki oto sposób: *od wywiezienia biskupa Krasieńskiego, na współpracę którego (Murawjew) liczyć nie mógł biskup wileński był na wygnaniu w Wiatce*... Więc pytamy: było wywiezienie, czy nie było? Było, i niema o co się spierać. Zgodzimy się też chyba obaj, że rząd użył tymczasem dla usunięcia biskupa z diecezji innego sposobu niż usuwając później Hryniewickiego, Zwierowicza, Roppa i in.

Za największy błąd oponenta uważamy jego dufne twierdzenie, że *żadnego uzurpatwstwa nie*

A dobór właściwych ludzi na właściwych stanowiskach?.. To już najłatwiejsze. Funkcje np. policyjne będą powierzone notorycznym komunistom, gdyż ich nikt w pole nie wyprowadzi—za dużo sami mieli do czynienia z policją. Sędziami będą weterani więzień, wielokrotnie sądzeni i karani, bo ci najlepiej znają się na kodeksach. Adwokatami zostaną t.zw. łapacze, bo ci mają wprawę w akwizycji klientów dla innych, a więc tembardziej ochocho będą pracowali na siebie. Urzędy notariuszy i pisarzy hipotecznych obejmą dawniejsi wysocy dygnitarze państwowi, którzy popadli w stan niełaski, albowiem nie powinni oni tracić praw nabytych już przedtem w ojczyźnie. Służba medyczna będzie zorganizowana z tych lekarzy, którzy dopuszczali się zakazanych zabiegów operacyjnych. Będą jednak musieli zmienić specjalność, bo przy wyjeździe na wyspę skazańców wszyscy zreguły podlegną sterylizacji, wobec czego dawniejsza ich specjalność stanie się bezprzedmiotową. Uprzemysłowienie wyspy powierzmy najbardziej znanym „rycerzom przemysłu”, do lotnictwa zaciągniemy wszystkich „niebieskich ptaków” i t. d.

* * *

Mamy więc już wyspę, zaludnienie i organizację tej ludności. Jakże szczęśliwa wówczas stanie się metropolja!... Gruntownie zasenizowana moralnie będzie wzorem obywatelskości. Wszelka nieprawość będzie wymieciona z Polski. Żadnych protestów, żadnych fermentów. Raj na ziemi!...

Jedna tylko myśl zachmurza nasze oblicze i nie daje nam pełni zadowolenia ze wspaniałego projektu: — Co wówczas zrobi ze sobą p. prokurator Sieroszewski?...

Czyżby miał podzielić los deportowanych na wyspę, jako człowiek już zbędny, który oddał państwu najładniejszą swą ideę i nie ma nic więcej do dania?... Nie!... Na to nie można się zgodzić. Niech pozostaje nadal na swem stanowisku, niech nadal tworzy i daje nam... materiały do feljetonów.

Bolesław Szyszkowski.

Niedorzeczność dążeń nacjonalistycznych

Podczas odbywającego się w r. 1896 powszechnego spisu ludności w Rosji, arkusz rejestracyjny przedłożono również ces. Mikołajowi II, który w rubryce: *pozycja społeczna* wpisał własnoręcznie: *cho-*

było, czyli triumwirat Żyliński—Niemeksza—Tupalski był zupełnie legalną w sensie kanonicznym władzą. Tu również nasz krytyk jest niekonsekwentny. Wszak sam nazywa w swej broszurze Żylińskiego księdzem odstępca, okupantem Ostrej Bramy, co z pomocą rządu wdarł się na tłuste probostwo ostrobramskie wypędzając z niego wpięrow prawego (chyba prawowitego) proboszcza—ks. Zaleskiego, a o Niemekszy mówi, że Murawjew go od razu bez poradzenia się władzy duchownej, wyniósł... do godności prałata. O Tupalskim znowu czytamy w broszurze, że wystąpił z prośbą, aby Niemeksza, używszy swych wpływów u Murawjewa, dopomógł Żylińskiemu i jemu samemu do otrzymania godności prałackiej. Niemeksza przedłożył ów projekt Murawjewowi, i jak łatwo było do przewidzenia, otrzymał jego aprobatę. Tak to nagle nawet bez zasięgnięcia rad władzy kościelnej,

ziaini ziemli rosskoj. Ten charakterystyczny szczegół ogromnie swego czasu ubawił niesamowitą pretensjonalnością.

Przy bliższym jednak wejrzeniu w znaczenie rzecz cała nie przedstawia się tak dziko. Że nazywał siebie Mikołaj II gospodarzem ziemi *rosyjskiej*, mogło to nie Rosjan—zgoła lub tylko bardzo mało obchodzić, jako sprawa wewnętrzna Wielkorusi i jej stosunku do dynastji panującej. Przestrzenne ograniczenie tego pojęcia wskazywało, że bądź co bądź cesarz Rosji ustosunkowuje się do ziem nierosyjskich jak polskie, litewskie, fińskie, gruzińskie..., inaczej a nie jako ich gospodarz.

Dzisiejsi rzecznicy analogicznych haseł, t.j. endecy polscy, nie znają już zgoła żadnych ograniczeń. Nazywają siebie i chcą być właścicielami i gospodarzami *tout court* całego państwa! Dziś się nie słyszy już mniej więcej logicznych a zrozumiałych haseł w rodzaju: *Ziemia Polska dla Polaków*, lub *Polska dla Polaków...* występują dziś wzamian zawołania takie, jak np.: *Państwo Polskie dla Polaków...* Widzimy stąd namacalnie, jak ogromnie nacjonalizm powojenny zdystansował ostatniego cesarza Wschodniej, a był to rekord niełada.

No, ale to stanowi tylko jedną stronę zagadnienia.

Istnieje druga. Konsekwentne bowiem wzięcie zasady powyższej za punkt wyjścia polityki realnej, jest wprost niemożliwe dla człowieka, co jeszcze nie wyżył się logiki i poczytalności. Zilustrują to przykłady. Endecja polska na terenach etnograficznie niepolskich jak Wilno i Lwów, że waży się dziś głosić naród polski, jest i w Wilnie i we Lwowie *takim samym* właścicielem i gospodarzem jak w Polsce macierzystej. Na chwilę jednak pozwólmy na to, by wysnuć parę narzucających się stąd wniosków. Takimi są następujące: jeśli endecja polska chce uchodzić za właściciela i gospodarza kraju, to niechże zrozumie nareszcie, że nie ma też prawa ani oburzać się, ani wysuwać jakichś zastrzeżeń z powodu represyj przeciw polskich w Litwie, gdyż Litwini kowieńscy uważają siebie również za pełnoprawnych właścicieli i gospodarzy całej Litwy i odpowiednią temu prowadzą dziś politykę względem mniejszości polskiej. Jakiem tedy prawem zbiorowisko, które wszystko czyni, by obrzydzić życie mniejszości, może żądać od Litwy uważając całe państwo za swą włość dziedziczną, by obdarzyła polską mniejszość u siebie pełnią praw obywatelskich i wszelkimi swobodami? Jakiem dalej czołem żąda tegoż opinia polska

wbrew wszelkim ustawom kanonicznym, powstało nagle trzech prałatów rządowych, którym ks. Bowkiewicz pod naciskiem rządu musiał wyznaczać stalle (krzesła prałackie) w katedrze. Równie nielegalny był, pod presją rządową, późniejszy wybór Żylińskiego na administratora diecezji wileńskiej, zatwierdzony wprawdzie przez rząd rosyjski, lecz nigdy przez Stolicę św. jako instancję jedynie miarodajną. Wobec powyższego nie może być żadnej wątpliwości, że bynajmniej nie skrzywdziliśmy tych kreatur Murawjewa, nazywając je uzurpatorami.

Wypada dalej sprostować pewne nieporozumienie, do którego, niestety, przyczyniliśmy się sami mniej ścisłym wyrażeniem się. Oto mówiąc, że nieślawni triumwirzy Żyliński, Niemeksza i Tupalski zamieszani byli w wypadkach 63 roku, mieliśmy na myśli właśnie ich udział, w poprzedzających powsta-

od Niemiec, które również głoszą, że są gospodarzami całego terytorjum Rzeszy i nic też czynić nie zamierzają dla mniejszości polskiej?

Przecież już nie tylko niedorzeczne, lecz wprost śmieszne jest prowadzenie takiej podwójnej buchalterji.

Mentita est iniquitas sibi—załgała się nieprawość sobie, mówi stary Salomon. Jakże dobrze stosują się te słowa do każdego nacjonalizmu.

Sonderling

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Dr. Daniel Olsejko.

Kiedy, z kogo i gdzie się urodził dr. Daniel Olsejko jako jednostka, pisali o tem swego czasu autorzy jego życiorysów, względnie nekrologów. Nie myślimy tu ich pracy uzupełniać. Nas bowiem obchodzi nieboszczyk, jako działacz litewski. Każdy działacz ma też moment w swem życiu, który można nazwać, narodzinami jego, ma na swój sposób rodziców i przodków, posiada w swym rozwoju i działalności moment szczytowy i drugi—schyłkowy. Nieraz stanowi pewną trudność ustalić w życiu działacza wyraźniej rozgraniczone poszczególne takie okresy w ich porządku i kolejności. W życiu dr. Olsejki wcale wyraźnie uwypuklają się one.

Otóż zmarły działacz litewski, jako taki, urodził się, gdy świtała w dawnej Rosji carskiej jutrzienka wolności. U kończącego wtedy gimnazjum rosyjskie w Litwie lub stawiającego właśnie pierwsze kroki studenta medycyny jednej z wszechnic stołecznych Rosji, Daniela Olsejki dokonał się w duszy proces myślowo-uczuciowy, którego następstwem było utworzenie się w psychice młodego Litwina takich złóż zbiorowej dynamiki i kinetyki, które uczyniły tego człowieka zdolnym do wytrwałej a ofiarnej w ciągu mniej więcej ćwierćwiecza pracy nad obudzeniem śpiącej wówczas Litwy, nad odrodzeniem poczucia narodowościowego, stworzeniem programu pracy narodowej, społecznej i politycznej.

Gdy rodził się w duszy dr. Olsejki świadomy siebie działacz narodowy, widział on tylko nader skromne początki pracy dla Litwy; gdy odchodził ten przedwcześnie znużony a sterany pracownik ideowy, oglądał zrealizowane już 75% programu, który się stworzyło i o który walczyło lat tyle. Satysfakcja

nie styczniowe działaniach, po stronie społeczeństwa polskiego. Współczesny tym wypadkom ks. Konstanty Majewski mówi o tem w słowach następujących: *Kto w 1860 roku pierwszy naczał w wileńskiej kafiedrie riad patriotycznych propowiediej, kto w 1862 roku sobirał w Wilnie składczinu na pokupku rewolwelow dla gotowiwszagosia wozstania; tot sprawiedliwo możet być uliczen w maskirowkie i polityczeskich popożnowienijach; tot wo izbieżanije zasłużennago nakazanija dożden tiepier prikrywat'sia liczinoju russkago patriotizma i rieszat'sia na usie biezzakonija* (z rękopisu). Że Tupalski był w pierw przysięgłym uczestnikiem demonstracji patryjotycznych i politycznych w Wilnie, mówi sam Przybyszewski. Wolno tedy nam było twierdzić, że niecny triumwirat rusyfikatorski w Wilnie wyraźnie zacierał podług ugoda ślady swych dawnych przewin.

nielada, rzadka. A z kogo się urodził dr. Olsejko jako działacz? Niezawodnie urodził się z ducha tych Litwinów, co już byli wtedy w drugiej połowie swego życia, spędzonego na wyłącznej służbie ojczyźnie i jej odrodzeniu. W tym sensie ojcami zmarłego działacza moglibyśmy z powodzeniem nazwać dr. Basanowicza, dr. Szlupasa, dr. Kudirkę i in. Szykując się do pracy lekarskiej, wyczuli on i wszyscy, że niemasz nic szczytniejszego dla lekarza ponad obudzenie z letargu swego narodu, nad wyleczenie go z tej osobliwej śpiączki, w jaką zapada żywy ongi naród, gdy dostanie się do krwi jego bakcyl niewiary we własne siły, odrętwienia i apatji, wszczepiany mu przemyślną zaborczością silniejszego sąsiada.

Dr. Olsejko, jak tylu innych, urodził się na działacza narodowego w obcej mu duchem szkole rosyjskiej, mniejsza o to, wyższej czy średniej. Może nawet w oddaleniu od Litwy etnograficznej, w Petersburgu lub Moskwie, w środowisku całkiem obcym a zasadniczo wrogiem wszelkiej tradycji litewskiej. Oby dzisiejsza szkoła litewska, gdzie napewno forsowana jest lituanistyka ponad wszystko, dała Litwie tylu wybitnych działaczy narodowych, ilu ich wyszło ze szkół rosyjskich, niemieckich i polskich.

*

Dr. Olsejko osiadł w Wilnie pod koniec wojny światowej i byliśmy świadkami jego pracy i działalności w okresie powojennym. Dopóki w tym czasie był w Wilnie M. Birżiszka, osobistość dr. Olsejki zostawała w cieniu. Gdy przemoc wyrwała i wyrzuciła z Wilna 33, coraz bardziej wysuwa się na widownię i na czoło społeczeństwa litewskiego w Wilnie postać ordynatora naczelnego Polikliniki Litewskiej w Wilnie. Rychło zaufanie Litwinów wileńskich wynosi go na honorowe, lecz odpowiedzialne stanowisko prezesa Tymczasowego Komitetu Litewskiego. Godnie przez szereg lat piastował nieboszczyk ten niewdzięczny urząd społeczny, ujawniając dużo taktu, panowania nad nerwami, zręczności w traktowaniu spraw drażliwych i t. d. Zbyt jednak eksponowany, i to na wszystkie strony, był i jest ten posterunek, by łatwo było pozostawać na nim wciąż. Stąd ustąpienie z prezesury Komitetu mogło być przykre, nie powinno było atoli być przez ustępującego uważane za cios straszliwy, który przekreśla raz na zawsze całą dotychczasową działalność człowieka, unicestwiając go w opinii wszystkich. Inaczej, bo właśnie tak tragicznie potraktował dr. Olsejko przegłosowanie go w wyborach prezesa Komitetu. Pod wpływem tego

H. historyczny wreszcie okólnik bpa Stefana Zwierowicza, zakazujący pod groźbą kar kościelnych posyłania dzieci do szkół cerkiewno-ludowych i szkół gramoty, został potraktowany przez Nagrodzkiego zupełnie lekceważąco, chociaż na to jako żywo nie zasłużył. Wystarczy bowiem uświadomić sobie tylko znikomą jeszcze wówczas ilość tajnych szkół polskich w kraju z niewspółmiernie szerszym zasięgiem kościelnej ambony i konfesjonau, skąd jednogłośnie rozbrzmiewało wtedy po całym kraju, od Drui po Brześć Litewski, a od granic Suwalszczyzny aż pod Mińsk Białoruski, katagoryczne *nie wolno*.

Archiwista.

faktu zmienił się nieboszczyk bardzo, a wreszcie załamał się duchowo. Popenił przytem szereg kroków nierozważnych, których niebawem sam najwięcej żałował. Trwało to jednak krótko, bo mijał czas i znowu następowała jakaś próba odegrania się lub jakieś wystąpienie. Aż wreszcie wydał rodzaj autobiografji, ze specjalnem uwzględnieniem zatargów w gronie społeczeństwa litewskiego w Wilnie. Tu przychodzi mi na pamięć pamiętniki kanclerza Bülowa, o których krytyka orzekła, że rozgoryczenie autora i brak właściwej miary w ocenie spraw i ludzi spowodowały to, iż kanclerz „sam wyrządził sobie większą szkodę niż mógł to uczynić najostrzejszy jego przeciwnik. Bülow, jak wtedy powiedziano, jest jedynym człowiekiem, który po śmierci popełnił samobójstwo” (Bogdan Hutten-Czapski). Podobnie niejako stało się z dr. Olsejką.

Spółeczeństwo krajowe jednak nie będzie chciało pamiętać dziejów paru lat ostatnich jego życia, natomiast zachowa we wdzięcznej pamięci niewątpliwe zasługi długiego okresu poprzedniego.

Piotr Kantryba.

Zgony prof. Ferdynanda Ruszczyca oraz pośta Leona Wasilewskiego zasługują na szersze omówienie. Obu zmarłych znałem osobiście i z obydwoima miałem styczność bezpośrednią. Niestety, nie czuję się jeszcze na siłach do spisania wspomnień i oceny działalności wybitnych tych jednostek. Postaram się to uczynić w następnym numerze.

L. A.

Bibliografia.

Remer Jerzy. *Wilno.* Poznań.

Poznańska firma nakładowa „Wydawnictwo Polskie” rozpoczęło przed paru zaledwie laty druk serji zatytułowanej „Cuda Polski”. Że tych cudów zbyt dużo w Polsce się nie uzbiera, zabraknąć nie mogło w niej Wilna. Na wytworny tom—ładniejszej książki o Wilnie jeszcze nie było—złożył się estetyczno-archeologiczne impresje b. konserwatora wileńskiego Jerzego Remera, artystyczne fotografie Bułhaka i reprodukcje kilku planów i widoków Wilna z przed stuleci. Tak wygląda protokularnie powstanie tej książki o Wilnie.

Nie jest to przewodnik, ani opis, ani tem bardziej historia m. Wilna, acz w „Wilnie” Remera znajdzie się potrosze coś z każdego rodzaju. Autor występuje tu w roli wytrawnego *cicerone*, to niby zachwycony podróżnik opisuje słuchaczom swoje wrażenia, to znowu głos zabiera w jakiejś spornej sprawie historycznej, rzucając na szalę ważki nieraz swój osąd. Przytem przejścia od jednego rodzaju do drugiego u Remera są tak łatwe a nieuchwytnie, że czytelnik radby nieraz zatrzymać autora nieco dłużej przy jakimś temacie, gdy ten już lotem motylim frunie dalej. Książka omawiana rozbudza ciekawość, lecz jej nie zaspokaja. Może to tutaj celowe, a może to już taka metoda autora—umykać wciąż od czytelnika, drażniąc

go zmianą tematu akurat w chwili, kiedyby się chciało zgłębić sprawę do dna. Te ciągłe, aż trochę drażniące przeskoki odczuwane być muszą zwłaszcza przez umysły męskie, mogą atoli przypaść do gustu bojącej się zawsze znudzenia umysłowości kobiecej.

Całe to wydawnictwo w omawianiu miast i dzielnic Rzeczypospolitej ma, zgodnie z zapowiedzią tytułową, uwzględniać trzy momenty: piękno przyrody, pomniki pracy, zabytki dziejów.

Swego czasu St. Lorentz wytknął na szpaltach „Kurjera Wileńskiego” autorowi „Wilna” szereg błędów historycznych, więc doszukiwać się ich więcej nie będziemy. Podkreślimy tylko błędy przeoczone przez krytykę, jak np. że Witold ostatecznie uległ Jagiełłowej koncepcji, wtedy gdy naprawdę nie obeszło się bez przemocy i podstępów dla jej przeprowadzenia... że tenże Witold używał od r. 1395 bezprawnie tytułu wielkiego księcia litewskiego..., że w kościółku św. Anny znalazł swój najczystszy wyraz *genius loci*, a, jak inni mówią, zakuta w kamień *ciesiołka polska*..., że kościół św. Jerzego ma w sobie coś z późnego gotyku krakowskiego..., że cerkiew Preczystej nad Wilenką nie zawiera absolutnie żadnych fragmentów ongi stojąceg tu soboru metropolitalnego, gdyż dolne części murów, filary i in. mówią o tem wręcz inaczej..., że krótkotrwałe rządy litewskie w Wilnie w r. 1920 zaznaczyły się dosłownie niepohamowaną bezwzględnością względem Polaków, gdyż były raczej nieśmiałe a słabe..., że koronacja cudownego obrazu M. B. Ostobramskiej przed kilku laty złączyła serca skłóconych narodów, więc to niby Polaków i Litwinów... Przecież to są już bujdy.

Niema jednak dzieł doskonałych, więc mimo zastrzeżeń powyższych nie wahamy się nazwać „Wilno” Remera piękną książką o naszym mieście. Zapewne zjedna sobie licznych nabywców.

Jadźwing.

Podziękowanie.

Wracając do zdrowia po ciężkiej i długotrwałej chorobie poczuwam się do obowiązku złożenia tą drogą serdecznego podziękowania przede wszystkim dyrektorowi Polikliniki Litewskiej dr. W. Legiejce i dr. W. Szemisowi oraz całemu personelowi Polikliniki, a także prof. I. Abramowiczowi, dr. F. Neimanowi, dr. W. Łobzie, dr. W. Odyńcowi i innym lekarzom za ich starania i skuteczne zabiegi.

L. Abramowicz.

DRUKARNIA

„KRAJOWA”

WILNO, GDAŃSKA 6

TELEFON 203

Wykonuje druk czasopism w jęz. krajowych •